

NINIEJSZY TEKST STANOWI FRAGMENT KSIĄŻKI:

**Zygmunt Gloger**

***PISMA ROZPROSZONE***

**TOM III**  
1890–1910

**Redakcja naukowa edycji**  
Jarosław Ławski i Jan Leończuk

**Wstęp**  
Łukasz Zabielski, Marek Rutkowski, Jarosław Ławski

**Opracowanie tekstów i przypisy**  
Łukasz Zabielski, Sebastian Kochaniec,  
Michał Siedlecki, Patryk Suchodolski

**Noty i słownik czasopism**  
Anna Janicka

**Indeksy opracowali**  
Mona Al-Kaber i Michał Siedlecki

Całość 3-tomowej edycji można znaleźć na stronie  
<http://www.ksiaznicapodlaska.pl/statics/gloger.html>

Publikacja powstała w ramach grantu NPRH pn. *Naukowa edycja krytyczna „Pism rozproszonych” Zygmunta Glogera w trzech tomach*. Czas trwania projektu: lata 2013–2017

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku  
Katedra Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” Uniwersytetu w Białymstoku  
Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku

**KSIĄŻNICA  
PODLASKA**



**NARODOWY PROGRAM  
ROZWOJU HUMANISTYKI**

Białystok 2016

TRZEJ RYCERZE (Z PODANIA),  
„Kwiaty” 1870, nr 5, s. 37-38;  
opublikowano w osobnej rubryce;  
podpis pod tekstem: „Zygmunt Gloger”.

Świecił księżyc z wieczora,  
W modrej srebrzył się fali,  
Stromym brzegiem jeziora,  
Trzej rycerze jechali.  
Pewnie jadą z wyprawy,  
Gdy zakuci w zbroicach,  
A zwycięskie ich sprawy,  
Bo wesołość w ich licach.  
Duch ich mężny prowadzi,  
Dzielne widać junaki,  
Będą w domu im radzi,  
Bo parskają rumaki.

Tak wśród ciszy jechali,  
Gdy się nagle wstrzymali,  
I do siebie krzyknęli:  
— Patrz! patrz! wodą niesiony,  
Wieniec płynie zielony,  
Po jeziora topieli.  
Czy dziewczęta tu były?  
Może drobne ich dłonie  
Wieniec w nurty rzuciły.  
— Chybaś bracie źle zoczył,  
Rzeknie drugi — tam tonie  
W miasto wieńca, dziewica,  
Cudnej krasy ma lica  
Wszak ocalić ją pora.  
— A wtem trzeci już skoczył  
W czarną głębię jeziora.  
Dzika odchłanił się pieni,  
Piana srebrzy głębinę,  
Chciał ocalić dziewczynę,  
Za nią zginął w bezdeni.  
Oj nie zginął on wcale,

Gdy jeziora wrą fale,  
A otchłań drzeć się zdaje;  
Jego rumak dno zmacą,  
On odpiera, roztrąca  
Wodnych duchów tam zgraje.  
Takich bojów nie znali  
I rycerze już sami,  
Tylko starzy mawiali,  
Czem są boje z duchami.

Znowu cisza w około,  
Drzemią w cichym śnie fale,  
Księżyc srebrne swe czoło, m  
W czystym kąpał kryształ.  
Rumak na brzeg wpłynął,  
Cały znojny, przybrany  
W wodne zielska i piany,  
A pan jego? – pan zginął.

Gdzie nad brzegiem głębiny,  
Szumią trawy, łoziny,  
Tam koń jeźdźca młodego,  
Stał i czekał na niego.  
Próżno czekasz w ustroni,  
Choćbyś długie stał lata,  
Kto dno ujrzy w tej toni,  
Ten nie ujrzy już świata.

Wtem szmer słyhać wśród wody;  
Czy to rybki igrają?  
Czy to duchy płasają?  
Czy to rycerz sam młody?  
Ani rybki igrały,  
Ani duchy płasły,  
Głos to jego stłumiony,  
Z szmerem fali złączony:  
– Próżno w tej tu ustroni,  
Stałbyś koniu mój lata,  
Kto dno ujrział tej toni,  
Ten nie ujrzy już świata.  
Woda serce wystudzi  
I do świata i ludzi,  
Słońko jemu nie świeci  
Do całego już wieka,  
Z nieba gwiazdka gdzieś zleci,  
Ona gwiazdka człowieka,  
Już cię karmić nie będę,  
Ni u zimnej krynicy  
Czystą wodą napoję,  
Ani dzielnie dosiędę,

Ani w jasnej zbroicy  
Nie pojedę na boje.  
Wracaj koniu do domu,  
Droga do domu ci znana,  
A tam będzie dać komu  
I obroku i siana.  
Lecz gdy staniesz przed chatą,  
Powiedz mojej macierzy,  
Żem wziął żonę bogatą,  
Cudnej krasy dziewicę;  
Może temu uwierzy  
I przeminą tęsknice.

Koń zatętnił kopyty,  
Macierz z chaty swej bieży,  
I przed wrota wypadła,  
Patrzy, oczom nie wierzy,  
Rumak stanął jak wryty,  
Macierz jak chusta zbladła,  
Łez wytrysły jej strugi,  
Woła: gdzież mój syn młody!?

Syn nie wróci czas długi,  
Bo sewelne ma gody.  
A ta jego dziewica  
Cudnej krasy ma lica,  
Z wodnych lilii jej szata,  
Modrą falą dziergana,  
A gwiazdkami przetkana.  
I do tego bogata,  
Wielka skarbów komora,  
A w zapaśnej komorze,  
Wszystkie rybki jeziora,  
I wszystko co w jeziorze.  
Jakże cudna świetlica  
W której biorą ślub młodzi,  
Sam im księżyc przyświeca  
Srebrząc nurty powidzi,  
Aż lśni do dna głębina.  
Stado rybek wśród toni,  
Co wesoło się goni,  
To weselna drużyna.  
Godowymi tanami,  
To bój z jezior duchami,  
Dziki łoskot bałwanów,  
To kapela do tanów.

Nim syn wróci twój młody,  
Długo będziesz oczyma  
Śledzić drogę do chatki;

Bo kto sprawi te gody,  
Łzy dla matki już nie ma,  
Ni uścisku dla matki.

2

ON I ONA<sup>1</sup>,  
Ziarno, wydawnictwo zbiorowe dla głodnych, Warszawa 1880, s. 14;  
podpis pod tekstem: „Zygmunt Gloger”.

ON I ONA

Było ich dwoje.  
Ona – jak głaz nieruchoma, milcząca.  
On – wzrok utkwił w niej, jak w bożyszczu<sup>2</sup>,  
wzrok badawczy i pełny zachwytu.  
Ona zdawała się tego nie odczuwać...  
Duch jego gonił w krainę przeszłości, chciał  
coś odgadnąć, o coś jej pytał.  
Ona nic mu nie odrzekła<sup>3</sup>.  
I byli oboje nieporuszeni w głębokim mil-  
czeniu. On dumał, a szereg domysłów przesuwał  
się w jego wyobraźni – oddałby duszę całą, ży-  
cie i świat cały za jedno jej słowo.  
Ona jak grób milczała...<sup>4</sup>  
Woń bzów i jaśminów napełniała powietrze,  
strumień szemrał po kwiecistym błoniu, a w cie-  
nistym gaju chóry wesołych ptasząt nuciły wdzię-  
czny hymn dla Stwórcy. Dla niej i dla niego  
było to obojętnym<sup>5</sup>.  
On wziął do ręki ołówek – otworzył białą księ-  
gę – patrzył na nią, to znów na papier, i zaczął  
kreślić podobiznę. Wzrok jego z zapalem biegł  
co chwila do niej i do rysunku i rozpromieniał  
się zadowoleniem. Dla niej było to wszystko je-  
dno – szczęścia jego nie odczuwała – radości nie  
dzieliła...<sup>6</sup>  
On<sup>7</sup> – był archeologiem...  
Ona – popielnicą!<sup>8</sup>

---

<sup>1</sup> Niniejszy tekst Glogera ukazał się cztery lata wcześniej w czasopiśmie „Mucha”. Poniżej w przypisach prezentujemy różnice między obu mini-utworami pisarza. Zob. Z. Gloger, *On i ona*, „Mucha” 1876, nr 23, [w:] tegoż, *Pisma rozproszone*, T. 1: 1863–

1876, red. nauk. J. Ławski, J. Leończuk, wstęp J. Ławski, G. Kowalski, oprac. tekstów i przypisy G. Kowalski, Ł. Zabielski, noty i słownik czasopism A. Janicka, indeksy oprac. M. Siedlecki, M. Jurkowska, Białystok 2014, s. 809.

<sup>2</sup> Bożyszcze – przenośnie: o bezkrytycznie uwielbianym, czczonym człowieku lub przedmiocie; o rzeczach uważanych za nienaruszalne, wymagające czci.

<sup>3</sup> W pierwotnej wersji tekstu Glogera niniejsza fraza brzmiała następująco: „Duch jego biegł w krainę wspomnień, chciał coś odgadnąć z przeszłości, o coś pytał jej. Ona nie odrzekła ani słowa”.

<sup>4</sup> Fraza ta w pierwszej wersji tekstu Glogera brzmiała: „I byli oboje w głębokim milczeniu. On dumiał nad nią, a szereg domysłów przesuwał się w jego wyobraźni”. Kolejna część tego mini-utworu zaczynająca się od słów „oddalby duszę całą, życie i świat cały za jedno jej słowo. Ona jak grób milczała...” występuje tylko w drugiej wersji opowieści Glogera.

<sup>5</sup> W pierwszej wersji tekstu Glogera fragment ten składał się z następujących słów: „Przez okno widać było gaj, strumień i łąkę kwiecistą, woń bżów i jaśminów napelniała powietrze, a wdzięczne chóry ptaszek nuciły hymn dla Stwórcy. Na niej to nie robiło żadnego wrażenia”.

<sup>6</sup> Wersja pierwotna tekstu Glogera brzmiała następująco: „On wziął do ręki ołówek i otworzył białą księgę. Patrzył się chwilę na nią, to znów na papier i zaczął kreślić podobiznę. Wzrok jego biegał co chwila między nią a papierem i błyskał zadowoleniem. Ona nie zwróciła na to uwagi, zimna jak lód, szczęścia jego nie odczuwała”.

<sup>7</sup> Słowo „on” poprzedza we wcześniejszej wersji tekstu Glogera zdanie: „Inaczej też być nie mogło”. Po wyrazie „on” pada tu jeszcze słowo „bowiem”, którego też nie ma w drugim z wariantów tekstu pisarza.

<sup>8</sup> Popielnica – tutaj w znaczeniu: dawne naczynie grobowe służące do przechowywania prochów zmarłego.

### 3

DO KOBIETY,  
„Kurier Niedzielnny” 1898, nr 31, s. 485;  
opublikowano w oddzielnej rubryce;  
podpis pod tekstem: „Gloger”.

Kobieto! pókiś jest  
Kapłanką w tej świątyni,  
Gdzie miłość cnót i wiary chrzest  
Mężnymi braci czyni,

Dopóki umysł twój  
U ojców twych ogniska,  
Jako ożywczy, święty zdroj,  
Czcią obyczaju tryska,

Póty twej chaty zrąb  
Z granitu ma podłoże;  
A człowiek zły i czasu ząb,  
I piekło go nie zmoże.

## DO TYCH, KTÓRZY ŚPIEWAĆ ZAPOMINAJĄ,

„Goniec Poranny” 1905, nr 121, s. 3;

opublikowano w osobnej rubryce;

brak podpisu pod tekstem.

Jeden z przyjaciół Zygmunta Glogera udzielił nam ze swego zbioru autografów wiersz (napisany przez autora *Encyklopedii staropolskiej*) *Do tych, którzy śpiewać zapominają*. Wiersz ten w formie i stylu nieco archaicznym, do którego ma zawsze żywą sympatię lud wiejski, napisany dla wieśniaków, zaniedbujących starożytną pieśń w rodzimej okolicy Glogera (Jeżewo pod Tykocinem), podajemy tu w całości<sup>1</sup>.

Bóg miłościwy i szczodry bez miary,  
Opatrzył ludzi w rozmaite dary,  
By kiedy mają troskę albo szkodę,  
Mieli osłodę.

Więc, by złagodzić smutki i katusze,  
Dał im uczucia kojące ich dusze:  
Dał im wesołość, gdy czyste sumienie,  
Dał pieśń, gędzenie (muzykę).

I różne pieśni ludzie poskładali,  
By się modlili lub rozweselali:  
W kościele, w boju, wśród pola i w domu,  
Jak trzeba komu.

A Bóg co pragnie szczęścia prawdziwego  
Zawsze i wszędzie dla ludu swojego.  
Rad słucha z Nieba, gdy tu wdzięcznie śpiewa,  
Chłop albo dziewa.

A więc gdy pójdziesz, bracie, do świątyni,  
Niech duch twój z pieśni modlitwę uczyni,  
Niech zjednoczone całej rzeczy głosy,  
Biją w niebiosy!

A gdy pracujesz: u siana lub żniwa,  
W sadzie, w stodole, w lesie, u przędzywa,  
Śpiewaj, dziewczyno, matek twoich wzorem,  
W dzień i wieczorem.

Pieśń o Jasieńku czas ci skróci mile,  
Przy pieśni płyną łacniej znojne chwile,  
Głos twój srebrzysty niech echo w dal niesie,  
W polu i w lesie.

Jeśli, matko, nad kołyską siedzisz,  
I skarb najmiłszy do snu tulić będziesz,  
Niech go pieśń słodka ukołysze we śnie,  
By kochał pieśnię.

A gdy mołojcze, podkręciwszy wąsów,  
Skrzeczysz podkówką ognia podczas płasów,  
Za każdym razem, gdy nawrócisz w koło,  
Grzmij pieśń wesoło!

Lecz gdybyś, dziewczko, dostrzegła w młodzianie,  
Że jego duszy nie wzrusza śpiewanie,  
Mów mu, że cymbał, prostymi słowami,  
Nad cymbałami!

---

<sup>1</sup> Informacja pochodzi od redakcji „Gońca Porannego” [przyp. Red.].

## 5

### MARZENIA SAMOTNIKA (POEMAT ZIEMIAŃSKI), wydanie broszurowe: Warszawa 1883, na karcie tytułowej widnieje dopisek: „przez Z. Gl...”

W cichym zakątku kraju, mało światu znanym,  
modrą wstęgą przejrzystej rzeki przepasanym,  
strojnym w brzozowe gaje i łąki zielone,  
na których rolnik wznosi stogi niezliczone,  
pod cieniem lip odwiecznych stał dworzec drewniany.  
Stary, krzepko stał jeszcze; białe jego ściany  
wdzięcznie się odbijały w gęstwinie ogrodu,  
grządki kwiatów stroiły murawę skoszoną,  
słodkie wino oplotło ganek gwoli chłodu;  
nie było na nim herbów, tylko zawieszono  
na drzwiach obraz Najświętszej Panny z antyfoną.

W tym ustroniu samotnym, tak cichym i miłym,  
wśród izby na poddaszu, otoczony ksiąg pyłem  
siedział w szarej kapocie człowiek młody jeszcze.  
A było to w noc ciemną, z nadworza dolatał  
z szumem lip i topoli krzyk nocnych puszczyków,  
jakby wołania duchów przeciągłe, złowieszcze.  
Czasem okienicami wiatery zakołatał,  
lub zawył, jako wyją dusze pokutników,  
co żyli bez miłości, a zmarli bez Boga.



W izbie, przy słabym świetle, wiała jakaś trwoga  
tajemnicza: stosy ksiąg i rdzawe pancerze,  
łuskowe haraceny, zbutwiałe makaty,  
skrzynie srodze zamczyste, a ze ścian komnaty  
spoglądające króle, hetmany, rycerze,  
po kątach kościotrupy jak przeszłości cienie,  
która indziej wygnana – tu miała schronienie.

Człowiek, który siadywał w tym skarbcu pamiątek,  
zaniknął się w nim za miodu i lat już dziesiątek  
codziennie tu przybywał do swego ukrycia.  
W jego rysach widniała owa cisza głucha,  
która nie łącno zdradza ani cierpień ducha,  
ani uczuć namiętnych. Za cel swego życia  
obrał prace, o których z ludźmi mówił mało,  
choć poświęcił im przeszłość – oddał przyszłość całą.  
Człowiek ten był dziwacznym marzycielem może,  
bo w zwycięstwo na ziemi dobrej sprawy wierzył,  
ludzi mierzył zasługą, imię czynem mierzył,  
ufał w pracę i serce, w miłosierdzie Boże,  
i szukał tylko zawsze myślami tęsknemi  
aniołów pośród ludzi i nieba na ziemi,  
i miłował poezję, ale taką, która  
nie unosiła ducha w przestworów krainy,  
kędy pusto i głucho, ani w Alp doliny,  
ale do Soplicowa – nad Wisły równiny.

Wiater jesienny umilkł – a cisza ponura  
zaległa senną ziemię i tylko chwilami  
wśród izby, słycać było głębokie westchnienie,  
albo liść zaszeleścił żółkły za szybami,  
zajrzał ciekawie w okno i pierzchnął w nocy cienie.

Była północ. On skończył pracę dnia całego,  
i wsparty na wezglówiu krzesła dębowego,  
zasłoniwszy swą dłonią przeciw światłu oko,  
siedział nieporuszony i dumał głęboko.

Gdy stary kurant pierwszą z północy wydzwonił,  
człowiek w szarej kapocie nie słyszał już bicia.  
Jakiś obraz nieznanym przed nim się odsłonił,  
jakieś dziwne postacie nabierały życia:  
po jesieni pochmurnej śnieżna zamieć wiała,  
lecz lody pękły szybko w ciepłym tchnieniu wiosny,  
i zajaśnia poranek cudowny, radosny:  
złocista powódź światła rannego oblała  
szczyty wzgórz w wieńcach lasów, doliny drzemiące;  
nocne chmurki zniknęły z wietrzyka powiewem,  
i ranna mgła topniała, odsłaniając w łące  
barwny kwiatów kobierzec, a faliste łąny  
bujną zielenią zboża w dali powiewały.  
Gaje olszowe wrzały ptasząt głośnym śpiewem,  
motyle pocałunkiem lekkim przebudzały  
kwiat wiosenny w osłonki rosy przyodziany.

Synu, to gniazdo twoje – twa skarbnica cała!  
Odczułeś i poznałeś po zieleni gajów,  
śpiewie ptasząt, ziół woni, po szmerze ruczajów,  
w drzew szumie, w barwie nieba, w natury uśmiechu,  
i w wietrzyka powiewie, i tych pól oddechu,  
który dla twojej piersi tak lekki i świeży,  
że oko dziwnym ogniem, lice życiem pała,  
serce bije ci silniej, krew goręcej bieży.  
Synu! wpatrz się w twą macierz, jak piękna jej szata,  
poznaj to życie, którym pierś jej dziś kołata.

W rąbku drzew, które rodzą owoc smakowity,  
przez łany chlebobajne, płynie droga gładka.  
drogą zdążała gwarząc robocza czeladka,  
a był to lud dorodny, silny, pracowity,  
ubiór miał jednostajny, dziwnie miły oku,  
prosty ale chędogi, dawnym krojem szyty,  
odpowiedni do zajęć i do pory roku.  
Starsi wiekiem gwarzyli o uprawie ziemi,  
jako zasilać glebę soki pożywnymi,  
rozkruszać twardą skibę, wypleniał chwast podły.  
Dziewczęta gwar wesoły z młodzianami wiodły,  
z których całej postaci, ruchów, mowy, czoła,  
widać umiarkowanie i dzielność a życie.  
Lecz oto najkrańszcza z dziewiczego koła,  
ukazała skowronka, co zawisł w błękiecie  
z dźwięczną piosnką, spokojny o swoje pisklęta,  
otoczone opieką przez wiejskie chłopięta.  
Gwar umilkł – młodzież chwilę patrzyła w niebiosy,  
i razem śpiew podniosła dobranymi głosy.

Synu! czemu uczucie burzy pierś twą w łonie?  
czemu słowo zachwytu zamarło w twym głosie  
i łza błysła w twym oku – lice ogniem plonie?...  
Śpiew rozbrzmiał się daleko na porannej rosie,  
powtórzyły go echem wzgórze i doliny,  
powtórzyły dąbrowy – pieśń w przestwory płynie,  
cóż niebios w ojczyznę niebios wraca, ginie,  
gdzie pieśń swoją usłyszał lirnik Ukrainy.

Kształtne niosąc narzędzia, ochoczo wieśniacy  
podążali na własne zagony do pracy;  
inni byli najęci na łan ziemianina,  
którego dwór zasłania ogrodu gęstwina.  
Stróżem ich zajęć była uczciwa oświata,  
a od wymiaru pracy mierzona zaplata.  
A towarzyszką trudów była pieśń ludowa,  
kochanka polskich dziewcząt, ich duszy połowa,  
na tych niwach przed wieki dawnymi zrodzona,  
w sercu mnogich pokoleń długo kołysana,  
natchnieniem czystej duszy, cichą łzą karmiona  
i prostaczymi słowy wdzięcznie spowijana.

Umilkło echo pieśni. W mglistym oddaleniu  
znikły łąny i ludzie, doliny, ruczaje.  
Samotnik snem kołysan, był w innym złudzeniu:  
było to wewnątrz wioski skrytej w sadów gaje;  
wzdłuż sioła szła ulica: lipy, wiązy, klony  
osłaniały przechodniom ścieżkę z każdej strony.  
Z cienistej drzew powodzi wychylały czoła  
z rzadka dworki wieśniacze, a w pośrodku sioła  
stał dom duży, chędogi, co miał napis: „Szkoła”.  
Zegar nad gankiem domu głośnym biciem mierzy  
czas pracowitych ludzi. Sygnaturka z wieży  
zwołuje dziatwę wiejską w porannej godzinie  
do szkoły, gdzie czas szybko i wesoło płynie  
wśród pożytecznych zajęć, których tutaj tyle,  
bo nie sama tu książka wiedzie do oświaty,  
więc – pasieka, drzew szkółki i małe warsztaty,  
ówdzie jest miejsce ćwiczeń w zręczności i sile,  
tam znów ma zagon każde chłopię pracowite,  
na którym pielęgnuje zioła rozmaite.

Przed wieśniaczymi dworki – przedsionki, podcienia  
starodawnego wzoru, na słupach rzezanych,  
bluszczem szerokolistnym wkoło opasanych,  
lub winną latoroślą – podczas chwil wytchnienia  
chłodne miejsca spoczynku. Obok grządki kwiecica  
i różnych ziół lekarskich do apteczki kmiecia,  
i drzewa wyśmienitym owocem ciężarne,  
krzewy słodkiej jagody i ogrodowizny,  
a ówdzie dla przemysłu przydatne rośliny,  
ule, gdzie znoszą lipiec pszczoły gospodarne.  
Ostrokołem nie były warowne ogrody,  
bo nie znano w tym siole kradzieży, ni szkody.

Gładkim brakiem wysłane obejścia przy domu  
drzewami osadzono, co chronią od gromu,  
skwaru i huraganu. W stajni pośród chłodu,  
żując paszę zieloną, przy żłobach swych stały  
mlekiem krówki słynące, obok żrebce rżały  
silne a domorosłe, żmudzkiego zawodu.

Strojny wiankiem podcieni, przy domu był blisko  
lamus z małym pięterkiem, zapasów siedlisko,  
przyborów gospodarskich, naczyń spiżarnianych  
i wyszłych już z użycia narzędzi, oblanych  
krwawym praojców znojem. Był to skarbiec cały,  
w którym ciekawe sprzęty się przechowywały.  
W zapyłonych rupieciach były domu dzieje,  
w narzędziach z różnych czasów – postępu koleje.  
W piwnicy pod lamusem: miód, piwo domowe,  
dla polskiego żołądka dwa napoje zdrowe.  
Bocian klekotał w gnieździe nad strzechą spichlerza,  
wierny domu przyjaciel i godło przymierza,  
które Bóg zlecił człeku ze świata przyrodą,  
zawiesiwszy to gniazdo nad polską zagrodą.

Pod Jasnogórskiej Panny obrazkiem święconym  
nade drzwiami kmiecego dworku umieszczonym,  
był napis: „I kto by was nie przyjął w te progi,  
wyjdźcie i otrząśnijcie prochy z waszej nogi”.

W widnym i schludnym wnętrzu wieśniaczej zagrody  
uwzględniono potrzebę zdrowia i wygody.  
Wszędzie tu dziwna czystość, porządek wzorowy,  
skromny a miły pozór. Duży stół dębowy  
w pierwszej izbie, obrusem bielonym nakryty,  
w domu tkanym. Na stole leżał smakowity  
chleb polski i z Wieliczki skarb dla ziemianina.  
Przy oknach stały krosna, do szycia machina  
krajowego wyrobu, i róże kwitnące,  
a na ścianach dokoła obrazy wiszące  
świętych Pańskich i mężów wielkiej duszy, głowy:  
obrazy te wykonał artysta wioskowy,  
a ramy wyrzeczali pasterze misternie,  
platając niby w wieńce: dąb, wawrzyn i ciernie.  
W rogu izby na półkach księgozbiór domowy,  
zaczynał nieśmiertelny Skarga złotosłowy,  
a dalej poczet wieszczów polskiego parnasu:  
ojciec naszej poezji – Jan z Czarnogolasu,  
Pan Tadeusz Adama mocno wyszarzany  
mówił, że był w zaścianku stokroć przeczytany  
(o czym marzył za życia piewca wiekopomny),  
dalej szedł starodawnych zbiorów pieśni ogromny,  
dzieje nasze, ujęte w przystępne zarysy,  
dzielka dla gospodarzy, gospodyń przepisy,  
ludowe czasopisma, gawędy, wspomnienia,  
i Jachowicz – przyjaciel dziatwy pokolenia.

Wszystkie w domu szczegóły jasno wskazywały,  
że był sprawą niewiasty ład i zarząd cały,  
i że błędzili niegdyś starzy ludzie owi,  
gdy mniemali, że nigdy zgodzić się nie może  
oświata z pracą kmiecia, przyswoić ludowi,  
że czytać nie ma czasu ten, kto pługiem orze,  
że kto wiedzy zachwyci – nie dla niego chata.  
Lecz stało się inaczej. Rzetelna oświata  
nauczyła lud pracy, oszczędności, cnoty,  
karcąc zbytek, a szczepiąc miłość do prostoty,  
i stawiając za przykład dostojnika tego,  
który został szczęśliwym, gdy z miasta pysznego  
wrócił pod strzechę ojców i zagon swej ziemi  
w pocie czoła uprawiał rękami własnymi.

Za wsią wśród krzyżów – lipy cieniły kaplicę,  
gdzie na cichą modlitwę przychodzą co ranek  
dwie panienki ze dworu i ich rówieśnice,  
córkę kmieci z tej wioski, i snopy równianek  
u stóp Królowej ludów składają w pokorze.  
Tu nieraz w wieczór letni, wieśniaków gromadka,

nabożne pienia głosi, albo w kłęski porze  
błaga Wszchemogącego; tu troskliwa matka  
poleca dziatwę Bogu; wędrowiec się skłoni,  
lub sierota żal kojąc, cichą łzę uroni.

Na pobliskim pagórku duży krąg murawy  
ocieniony drzewami – jest miejscem zabawy  
w dnie świąteczne. Więc rzesza wieśniaczej tu młodzi  
bawi się w gry wesołe, płąsa, lub zawodzi  
dźwięcznym głosem swe pieśni, przy świetle srebrzystem  
miesiąca i miliona gwiazd na niebie czystem.  
Tu po żniwach wieś polska wyprawia okrężne,  
a najlepsze żniwiarki przynoszą potężne  
wieńce zboża na ołtarz Matki Zbawiciela.  
Tu w wieczór sobótkowy, gdy dziewice społem  
ująwszy się za dłonie, staną wielkim kołem,  
zaczyna starodawny taniec grać kapela,  
i młodzież dziarsko płąsa dokoła ogniska,  
niby duchów korowód wyprawia igrzyska.  
A wtedy i dziedzice dworu pobliskiego  
radzi przychodzą w swoich domowników kole,  
by podzielić biesiadę ludu wieśniaczego,  
jak to bywało niegdyś w Czarnoleskim siole.  
I niebo jedną łuną ponad krajem pała,  
i echem jednej pieśni brzmi kraina cała.

Lecz znikło piękne sioło w widzeniach człowieka,  
zagasła łuna stosu – dąbrowa daleka  
raz jeszcze powtórzyła głos pieśni rozwiany.  
Kaplica w mgłach malała, znikło wzgórze z ludem,  
jakaś dziwna tęsknota, co na wskroś przenika,  
owładła ciężkim smutkiem duszę samotnika,  
który na swym poddaszu marząc zadumany,  
teraz ujrzął się nagle przeniesion jak cudem  
do pięknego ogrodu, cienistych ustroni,  
do samotnych chłodników, miłej kwiatów woni;  
gdzie podniebne topole swym liściem srebrzystym,  
gwarzyły cichym szeptem nad stawem przejrzystym,  
kędy na tle zieleni, na wyspach za wodą,  
lekkie, wiotkie jak duchy, nęciły urodą  
rusalki, świtezianki, arcydzieła sztuki,  
tam znów posągi wieszczów i twórców nauki  
owite splotem bluszczów. Dalej za stawami,  
sad z owocem szkarłatnym, warzywo grzędami....

Pośród ogrodu jaśniał dworzec okazały,  
przed nim w cieniu siedziała kobieta. Pacholę  
Stało przy niej. Obok niej dumał ogorzały  
z bujnym wąsem mężczyzna. Na mężczyzny czole  
był i w wyrazie twarzy hart ducha wryty:  
to świętych obowiązków poczucie bezdenne,  
i siła męskiej woli, a serce promienne

prostotą i szczerością. Nie był to przeżyty  
panicz, ni sybaryta<sup>1</sup>, dla którego celem  
być podniebienia kuchtą, Bachusa<sup>2</sup> czcicielem,  
ni samolubny handlarz swojej ziemi łąnów,  
lecz zacny obywatel; był rodem pan z panów,  
dla którego ojczysty zagon jego ziemi  
był spójnią z krajem, ludem i przodkami swemi.

Rodzinę dopełniały dwa dziewczątka hoże,  
modrookie, wysmukłe, jak wiosenne róże  
mające się rozwinąć w dwa kwiaty wspaniałe.  
Ubiór ich miły oku, skromny, jednakowy,  
stanowił sznurowany gorset granatowy  
i sukienki krakowskie, a koszulki białe  
ukraińskie, wzorzysto w kwiaty wyszywane;  
warkocze bławatkami miały przeplatane.

Matka słuchała lekcji dziewczątek i syna,  
który w wioskowej szkółce uczyć się zaczyna.  
Nauka poszła dobrze, więc dziatwa wesoła  
śmiech i radość promienną rozsiewa dokoła.  
Młodsza z dziewcząt lubując się w kwiatkach namiętynie,  
pobiegła skropić lilie i przeróżne zioła  
dla domowej apteczki hodowane skrzętnie –  
uśmiechnięta nadzieją w swych snach i marzeniach,  
że mogą przynieść ulgę ludziom w ich cierpieniach;  
starsza – dobra gosposia, z garstką pozbieranych  
okruszyn, poszła do swych kurczątek kochanych,  
które gdy swoim srebrnym głosem zwoływała,  
biegły spieszniej, niż kiedy kokosz je zwabiała.

Rodzice rozmawiali o dawnych poglądach  
w ukształceniu młodzieży, wadach i przesądach:  
gdy naukę języków błędnie pojmowano,  
i nie w zdobyciu wiedzy za środek ją miano,  
ale jako oznakę najlepszego tonu,  
nie szło więc o pożytek, szło o blichtr salonu,  
i tresowano dziatwie akcent salonowy  
zwykle kosztem skażenia drogiej ojców mowy,  
a licznymi furgony nad Wisłę jechały  
zagraniczne niewiasty, by wychowywały  
młodzież, której nie znały potrzeb,  
obyczaju, obowiązków, – by w serca rzucić to nasienie,  
z którego wzeszły chwasty, jak lekceważenie  
pamiętek i tradycji, dziejów ludu, kraju.  
– Smutne to były czasy – rzekł ziemianin dalej: –  
ludzie, co sami zwali się zachowawcami,  
obcą mowę, zwyczaję, tytuły przybrali,  
karczmarzom sprzedawali gniazda cnót rodowych.  
– A ów zamęt i rozbrat między pojęciami  
wiary i moralności, zasad naukowych;  
nikt wówczas nie chciał wierzyć, w co my wierzyć będziemy,  
że religia, nauka i poezja społeczeństwem

staną się jednaj, wielkiej myśli apostołem,  
której Bóg wiecznym źródłem, a człowiek narzędziem.  
– O stanowisku kobiet pisano ksiąg wiele,  
naznaczając mu nowe granice i cele.  
nie bacząc, że natura z wieków doświadczeniem  
rozstrzygnęły pytanie – że gdy przeznaczeniem  
mężczyzny jest ster życia publicznego w świecie;  
być twórcą nauk, sztuki, obrońcą kobiecie,  
to zadaniem niewiasty – jest strzec u ogniska  
uczucie, srom<sup>3</sup>, obyczaj. Oba stanowiska  
dopełniają się wzajem, za tło życia wzięte  
są zarówno zaszczytne i zarówno święte.

Tutaj przerwał rozmowę starzec z wąsem siwym,  
który wszedłszy oparty na berdyszu krzywym,  
pozdrowieniem Chrystusa witał gospodarzy.  
Z jego mowy i ruchów, z czerstwej jego twarzy,  
z prostej starca postawy w wieku tak sędziwym –  
poznałeś w nim żołnierza, którym był czas długi  
ten ostatni żyjący wojak w swym powiecie.  
Od lat bowiem już wielu wszystkie ludy w świecie,  
rozlew krwi przemieniły na walkę z żywioły,  
ścieląc puszcze i bagna pod ziarno i pługi,  
wśród odwiecznej ciemnoty zakładając szkoły,  
i wśród jęków niewoli wznosząc krzyże wiary.

Byłże stary weteran żebrakiem bez chaty,  
jak to bywało nieraz przed dawnymi laty?  
Nie; istniały już wszędzie przytulki, ochrony,  
domy zarobku, kędy kalectwo, wiek stary  
najtroskliwszą opieką został otoczony.  
Starzec był kmieciem z wioski, a gościem w tym gmachu;  
jejmość go przywitała pytaniem serdecznym  
o zdrowie, a gospodarz wymówką: dlaczego  
tak często zapomina o przyjaciół dachu, –  
i ścisnąwszy kościstą rękę przybyłego,  
posadził go przy sobie pod drzewem odwiecznym.  
Kmieć nie miał tarczy z herbem – tylko dłoń od pługa  
i dwie blizny na czole; lecz były to lata,  
w których już tylko cnota i własna zasługa  
dawała stanowisko wśród ludzi i świata.  
Bóg nie był już dla ludzi garncarzem, co bierze  
czarną glinę na garnki, białą na talerze.

Wojak był rówieśnikiem i kolegą broni  
niegdyś z ojcem dziedzica. Dziś pług z drżącej dłoni  
oddał synom i wnukom, a sobie zostawił  
teorban<sup>4</sup> dźwięcznostruny; nim starzec się bawił,  
i często na mogile poza wioską siadał,  
gdzie stare pieśni nucił lub nowo układał.

Na znak dany przez matkę, dwa hoże podlotki  
wniosły starego miodu opleśniałą flaszę,

a gospodarz rzekł, lejąc w lampkę napój słodki:  
– Wszak i miód ten pamięta młode lata wasze?  
– I ta lipa – rzeki starzec – co nam cieni czoło,  
tuśmy dziećmi igrali w żołnierzy wesoło,  
ojciec Waścin dowodził, ja kapralem byłem,  
póki drewnianej szabli w stalną nie zmienilem.

Dziad białą kiwał głową i westchnął głęboko,  
i przycisnął swe serce prawicą szeroką.  
A panienki już wiedząc, że w wzruszenia chwili  
chętnie bierze teorban i tęskną pieśń kwili,  
zwawo starcu przyniosły z rodzica alkowy  
ulubione narzędzie i słodkimi słowy  
prosiły, by zanucił te pieśni wybrane,  
którymi nieraz pieścił dusze młodociane:  
– Któż dziś wam zaśpiewać – rzekł lirnik wioskowy –  
gdy dum tyle się ciśnie na struny, do głowy,  
a głos już w piersi starej ledwie się kołata?...  
Ale bez żalu zejdem spokojny ze świata,  
Bo teorban mam komu zostawić wśród wioski,  
i liczne, które wplotłem w jego strony, piosnki.  
O! za moich lat młodych wiele gorzej było,  
ludzie jak lód wyiębli i zdrętwiali byli,  
moc się mędrków i wieszczków w świecie namnożyło,  
którzy pieśni nie znali, a z serca szydzili, –  
inni, chociaż o sercu księgi napisali,  
czuć sercem nie umieli, cichej łzy sromali.  
– Ojcie – rzekła matrona – w tej wielkiej odmianie  
zasługa jest kobiety, – odkąd błędna droga  
dla niej obca, a celem ten wielki dar Boga,  
to najwyższe na ziemi matki powołanie.....

Tu starzec silnie brzęknął w teorbanu strony,  
i ku niebu podniósłszy swój wzrok zażawiony,  
drżącym głosem zanucił o szczęściu na ziemi,  
które Bóg ludziom rozsiał rękami szczodremi,  
lecz człowiek zasiew boży deptał swe mi nogi,  
póki kobieta-matka nie wniosła plon drogi  
pod strzechę domu ojców, jako ta *Jedyna*,  
która powiła światu na zbawienie *Syna*.

Lampa gasła wśród izby, gdy brzask jutrzni złoty  
przebudził samotnika z marzenia cudnego.  
Jakoż powstał, wzrok podniósł i westchnął z tęsknoty  
za złudzeniem, co było... ach tylko snem jego!

Jeżewo, w styczniu 1882 roku.

---

<sup>1</sup> Sybaryta – tzn. człowiek rozmiłowany w zbytku, wygodach i przyjemnościach życia.

<sup>2</sup> Bachus – w mitologii greckiej i rzymskiej był to bóg wina i radości.

<sup>3</sup> Srom – sromota, hańba; tu w znaczeniu: strzec ognisko domowe przed groźbą zniesławienia.

<sup>4</sup> Teorban – dawny instrument muzyczny, będący basową odmianą lutni.





Po zachodzie słońca. Rysunek Oryginalny A.Gieryskiego, „Tygodnik Ilustrowany” 1886,  
Tom VII, s. 217